

Zrazy po nelsonósku, czyli jak czytać „Lalkę”?

Edward Pieścikowski

Dla Mickiewicza najbardziej kłopotliwe było to, że ponadnaturalne poznanie bracia chcieli traktować jak zwykłą wiedzę. Nie rozumieli, że duch może powierzać swe sekrety w symbolicznym języku, a ten wymaga wysiłku i rozpracowania. Skoro ktoś wyśnił śmierć Czartoryskiego, to nie należało biec do kościoła i tam, po najbardziej tłumnej mszy, ogłaszać, że księżę umrze za trzy dni, jeśli nie nawróci się na towianizm. Takie historie, a niestety podobne się zdarzały, wywoływały śmiech i dostarczały przeciwnikom argumentów.

By ograniczyć te praktyki, coraz częściej nakazywano towiańczykom nie „rozumienie i interpretowanie”, lecz wierne „oddawanie” zasłyszanych nauk. Niczym papugi mieli powtarzać sformułowania, pojęcia, zdania. Operowali symbolami już nawet bez prób deszyfracji treści, za to ze sprawnością pamięciowego wyuczenia.

Suma tych zjawisk, zarówno wewnętrznych — wynikłych z obranej idei języka, jak i zewnętrznych — narzuconych koniecznością walki z przeciwnikami, przekształciła upragnioną nową mowę w nowomowę: zamknięty i dziwaczny system języka, regulowany potrzebami ideologii, używany z mechanicznym automatyzmem.

Jednak Goszczyński długo nie był świadom, iż bracia nie wiedzą, co mówią, a i on sam posługuje się niepojętym bełkotem. Przeciwnie — szacunek do języka mistrza wytrwale opierał się narastającemu krytycyzmowi poety. To, że w okresie apogeum swego sekciarstwa uważał, iż w przyszłości pisma Towiańskiego będą czytane tak jak Ewangelia, nawet nie dziwi. Ale wytrzeźwiał już z tego nastroju, wiele gorzkich słów napisał pod adresem Koła, a o pismach swego nauczyciela wciąż twierdził uparcie: „są piękne”.

Danuta Sosnowska

Zrazy po nelsonsku, czyli jak czytać „Lalkę”?

Studentów wybierających pozytywistyczne seminarium magisterskie wprowadzam nasamprzód w tajniki warsztatu badawczego historyka literatury tego okresu. Kiedy oświadczam, że wszystko zaczyna się od przeczytania utworu i zrozumienia jego tekstu, wybucha śmiech — profesor raczy żartować! Biorę tedy *Lalkę*, czytam fragment, prosząc, aby pukali w blat stołu, gdy czegoś nie będą rozumieć. Przy „radcy” i „subieckie” — pukania pojedyncze i nieśmiałe, przy „ajencie

handlowym” i „dysponencie” — pukania liczniejsze i śmielsze, przy „konsyliarzu” — już głośno, a najgłośniej, gdy Węgrowicz opowiada o Wokulskim, jak u Hopfera podawał „zrazy nelsonskie”.

W 1949 roku „Książka i Wiedza” wydała *Lalkę*, a po dwóch latach książeczkę przypisów w opracowaniu Henryka Markiewicza (Biblioteka Komentarzy Literackich nr 1). Ówczesny komentator mógł jeszcze liczyć na czytelnika przedwojennego, wystarczyło więc wyjaśnienie, że zrazy nelsonskie to „duszone mięso z kartoflami i grzybami”. Józef Bachórz, komentując *Lalkę* w najnowszym wydaniu¹, adresuje ją do czytelnika karmionego w stołówkach szkolnych i akademickich, stąd objaśnienie daje bardziej wyczerpujące: „zrazy z polędwicy wołowej lekko podsmażanej, potem duszonej z grzybkami, cebulą, pieprzem i innymi przyprawami oraz ziemniakami, uprzednio podgotowanymi i pokrojonymi w grube talarki” (I, s. 11).

Ja na seminarium idę jeszcze dalej! Uwzględniając fakt, że uczestnikami są przede wszystkim studentki, ale i fakt, że o polędwicę wołową już łatwo, przytaczam przepis za najsłynniejszą książką polską XIX wieku, czyli za Lucyny Ćwierczakiewiczowej *365 obiadami*:

Wziąć funt polędwicy, pokrajać na cienkie zrazy, zbić dobrze, osolić, opieprzyć. Położyć na dno blaszanego rondla lub maszynki spory kawał masła, zrumienić prędko i na rumiane maślo położyć warstwę posolonych i popieprzonych zrazów, posypać sparzoną i pokrajaną w plastry cebulą, znów położyć warstwę zrazów, znowu masła i cebuli. Nakryć szczelnie i dusić na dobrym ogniu, potrząsając często rondlem. Główną zasadą tych zrazów jest, aby się krótko dusiły i tak po 20 minutach powinny być miękkie. Można włożyć parę kartofli wpół ugotowanych, pokrajanych w plasterki, oraz dwie pieczarki krajane lub kilka świeżych grzybów i razem udusić. Pieczarki lub grzybki muszą być zblanżerowane, tj. odparzone.

Te żartobliwe rozważania wstępne prowadzą do wniosku wcale nie błahego: utwory pozytywistyczne — wciąż jeszcze uważane za lekturę „lekką, łatwą i przyjemną” — stale się od nas oddalając, stopniowo tracą swą powszechną zrozumiałość, komunikatywność, swą przystępność. W następstwie ich kolejne wydania obrastają w komentarze, mnożą liczbę koniecznych przypisów. A włączenie prozy pozytywistycznej (nareszcie!) do serii Biblioteki Narodowej niejako ją „uklasyficytowało”, stąd rozbudowywanie aparatu krytycznego wydaje się procedurą naturalną. Wydanie *Lalki* w opracowaniu Józefa Bachorza liczy 1349 przypisów! W wielu rozdziałach po pół setki, ale bywają i rozdziały — za sprawą politycznej monomanii Rzeckiego — zaopatrzone w półtorej setki przypisów. Na wielu więc stronach tekst objaśnień Bachorza „rywalizuje”

¹ B. Prus *Lalka*, oprac. J. Bachórz, BN I 262, Wrocław 1991. Dalsze cytaty z tego wydania; liczba rzymska oznacza tom.

o miejsce z tekstem powieści, przy czym — dodajmy od razu — owe objaśnienia są lekturą fascynującą. Powstały nie z edytorskiego musu, lecz — to się odczuwa — *con amore*.

Stanął tedy Bachórz przed dylematem nieobcym każdemu wydawcy utworów pozytywistycznych: co j u ż objaśniać, a czego j e s z c z e nie potrzeba? Nie ma przy tym decyzji nieomylnych w tym względzie, gdyż edytor zdać się musi — niestety — tylko na tzw. wycucie. Oto więc przykład rozstrzygnięć dyskusyjnych. Fryzjer Fitulski opowiada Wokulskiemu o awanturze dwóch młodzieńców podczas zabawy na Saskiej Kępie: „jeden chcąc kopnąć drugiego w wystawę [brak objaśnienia] — uderzył damę!” Dojść miało do pojedynku, fryzjer miał być sekundantem, ale „obrażający” przyszedł oznajmić, że z pojedynku rezygnuje („obrażony — może mu oddać, byle tylko raz...”). Oburzony takim brakiem honoru Fitulski porwał „faceta za galeryjkę [jest przypis], kolanem w antresolę [jest przypis] i won! za drzwi”. A gdy skończył Wokulskiego golić, owinął go „w strój podobny do śmiertelnej koszuli delikwentów [brak objaśnienia]” (I, s. 405).

Zatem ta programowo „przezroczysta” proza pozytywistyczna coraz bardziej zamyka się przed dzisiejszym czytelnikiem, podlega procesowi swoistej hermetyzacji. Edytor więc zaczynać musi od objaśniania — nie do wiary! — dziewiętnastowiecznej polszczyzny. Dla przykładu: co to znaczyło „zresztą” nic nie robić, ale też dlaczego pan Raczek nie „zdużał” na nogi i twierdził, że „humory” zabijają prawie tak jak kule.

Owe „śmiertelne koszule delikwentów” [skazańców] czy „humory” [płyn limfatyczny] pokazują jednak, że edytor przede wszystkim staje wobec świata nie istniejących już lub zanikających — najogólniej mówiąc — realiów, a przynajmniej ich ówczesnych nazw; styka się przy tym z realiami różnego charakteru: materialnymi, społecznymi, politycznymi, ekonomicznymi, obyczajowymi etc. Jakiegoż przygotowania potrzeba, aby sprostać zadaniu...

Józef Bachórz zajrzał wszędzie i sprawdził wszystko (jeżeli w tym stwierdzeniu jest doza przesady, to niech ją przyjmie jako wyraz uznania dla podjętego wysiłku). Prasa warszawska z lat akcji *Lalki* i z czasów jej powstawania (głównie „Tygodnik Ilustrowany”), kalendarze, księgi adresowe i rozkłady jazdy, publikacje dziewiętnastowieczne (Prus wiele z nich miał w swoim księgozbiórce), opracowania dawne, nowe i najnowsze — oto źródła jego przypisów. W efekcie tekst powieści osadza edytor w rozległej panoramie genetycznych inspiracji — to po pierwsze, a po drugie — draży i odkrywa jej ukryte sensy, proponuje też nowe odczytania.

Tu i ówdzie zaskakuje i zdumiewa czytelnika, nawet profesjonalistę. Jakież przywołać spośród wielu przykłady? Oto radca Węgrowicz dziwi

się, że Wokulski „nawet zdał” egzamin do Szkoły Głównej — nie bez racji, obszerny przypis wyjaśnia bowiem, jak trudny to był egzamin. Oto Rzecki wspomina, że jego nazwisko raz tylko figurowało w „Gazecie Policyjnej”, gdy „zgubił książeczkę” — w przypisie przypuszczenie, że mogło chodzić najprawdopodobniej o książeczkę czekową. Oto Wirski opowiadając Rzeckiemu o studentach, którzy „we trzech zaludniliby wszystkie nasze ochrony [brak objaśnienia]” dodaje, iż za jego czasów „na wsi, jeżeli ojciec mający młodego syna dał trzy, a cztery krowy na rok... fiu!... fiu!... to już zaraz obrażał się nawet ksiądz proboszcz” — z przypisu dowiadujemy się, że „krowa z dworskiej obory była przysłowiową (i zwiyczajową) rekompensatą, jaką szlachcic «wianował» uwiedzioną i porzuconą wieśniaczkę” (II, s. 361).

Szczególnie cenne są rozszyfrowania użycia języka ezopowego w *Lalce*. Bachórz rozszerza rozpoznania dotychczasowe i dorzuca nowe, wykazując w tej mierze sporo inwencji i spostrzegawczości. A więc znów tylko przykłady... Określenie Wokulskiego przez bywalców renomowanej jadłodajni przy Krakowskim Przedmieściu „wariatem, jeżeli nie czymś gorszym” jest pomówieniem go o zdradę narodowych interesów. Rzecki wspominając swój powrót do kraju — z Tomaszowa do Zamościa „raczej szedł” [konwojowany przez żandarmów], tam „bawił rok z czymś” [w więzieniu], a gdy napisał do Mincla, podobno otrzymał od niego list i pieniądze, ale „bliższych szczegółów tego wypadku nie pamięta” [chodziło o łapówkę dla straży więziennej]. Część majątku pana Tomasza „pochłonęły zdarzenia polityczne”, co jest — oczywiście — aluzją do klęski powstania styczniowego, ale nie tyle represji popowstaniowych, co skutków reformy uwłaszczeniowej.

Według tradycyjnej prusologii mamy w *Lalce* do czynienia z niesłychanie wiernym osadzeniem świata fikcji w realiach autentycznych (historycznych i topograficznych) z lat jej akcji 1878–1879. Otóż Bachórz twierdzenie to przyjął jako hipotezę roboczą i traktując powieść paradokumentarnie zaczął wszystko raz jeszcze sprawdzać. I co się okazało? Przyłapał Prusa na paru nieścisłościach, na przykład w rozkładach jazdy pociągów. (No, jeden rozkład jazdy znał pisarz zapewne dobrze — do Nałęczowa!) Korzystając — często i z nie ukrywaną wdzięcznością — z ustaleń Henryka Markiewicza i Ludwika B. Grzeniewskiego, przecież w niejednym ich poprawia, a często i uzupełnia, zwłaszcza odnośnie czasów przedakcji.

Tekst *Lalki* broni swoich tajemnic przed Bachórzem, jeszcze to i owo pozostało do wyjaśnienia i zrozumienia, a porażki komentatora bywają nieraz... wzruszające: „Nie jest jasne, czy hrabia karmi łabędzie na stawie przy Pałacu [w Parku Łazienkowskim], gdzie czyniono to najczęściej, czy w pewnym oddaleniu, na południe od Amfiteatru i wysepki

ze sceną teatralną” (I, s. 280). Także historia, ale już ta współczesna, nie oszczędziła Bachorza — skomentowany tekst powieści oddał do druku w Rzeczypospolitej Ludowej, a ukazał się w Najjaśniejszej! Dowiadujemy się więc, że plac Bankowy to dziś Dzierżyńskiego, że Belweder jest obecnie rezydencją Przewodniczącego Rady Państwa itp.

Od dawna jestem pod urokiem pisarstwa Józefa Bachorza. Otwarty na stale wzbogacaną wiedzę o literaturze, zorientowany w nowoczesnych metodach i technikach badawczych, potrafi ustrzec się pozorów profesjonalnego scjentyzmu, ukrytego za specjalistycznym żargonem — tak odpychającego czytelników od piśmiennictwa historycznoliterackiego. Bogactwo polszczyzny nie obawiającej się form dawnych czy ludowych, kunszt stylistyczny, pomysły kompozycyjne... Kogo to przypomina? Pigionia, Borowego, może Mikulskiego...? Bachorz jest samoswój!

Zabierając się do czytania jego *Wstępu* oczekiwałem więc lektury smakowitej. Nie, nie zawiodłem się.

Nie jest to tradycyjny wstęp BN-owski — wbrew zewnętrznym pozorom, zatem prezentujący wpieryw tzw. drogę pisarza do danego utworu, na którą z reguły składają się dane biograficzne, materiały o charakterze genetycznym, przegląd poprzedników podejmujących podobny temat itp. Pomysł Bachorza jest inny: pokazuje zrazu trudną sytuację czytelniczą w momencie, gdy *Lalka* w „Kurierze Codziennym” zaczęła się ukazywać — od wielu miesięcy trwał już druk *Nad Niemnem*, a *Pan Wołodyjowski* triumfalnie kończył serial Sienkiewicza. I w takiej sytuacji — uświadamia nam Bachorz — Prus (popularny... felietonista „kurierkowy”!) uderza w konkury, tyle odważnie, co ryzykownie: proponuje czytelnikom powieść zrywającą z tradycją, a to znaczy — z ich przyzwyczajeniami i nawykami, także z ich oczekiwaniami. Jak to przyjęli? O owych czytelnikach „kurierkowych” niewiele wiemy, choć pono losy bohaterów śledzili z zainteresowaniem. Jest natomiast faktem, że czytelnicy—znawcy (wg określenia Janusza Sławińskiego) byli nowatorstwem tej powieści nie tylko zaskoczeni, ale zdezorientowani — głównie kompozycją i strategią narracyjną.

Bachorz zatem, podążając śladem krytycznych i recenzenckich nieporozumień, objaśnia oryginalność Prusowskich rozwiązań. (A „namiaru” oryginalności *Lalki* dokonuje precyzyjnie i kompetentnie, jest bowiem badaczem wybitnym polskiej prozy XIX wieku). Swego czytelnika—potencjalnego znawcę prowadzi przy tym poprzez warstwy znaczeń: od tych zewnętrznych, jakby widocznych gołym okiem, do głębszych, ukrytych i niejednoznacznych. A więc nasamprzód „tytuł”, „sprawa kompozycji”, „narrator a fabuła”, potem „charakteryzowanie postaci”, ale to już nie tylko „dialog”, lecz i „fizjologia”. Od niej krok jeden do „psychologii” i „miłości”, a dalej — „rodziny i społeczeństwa”, „Warszawy”

i „polskości”. A efekt tej wędrówki poprzez swoiste kręgi wtajemniczenia? Odpowiem słowami Bachorza:

Mamy wprawdzie pewność, że czytanie *Lalki* uczyniło nas bogatszymi, dojrzałszymi, mądrzejszymi — ale jednocześnie uświadamiamy sobie, że tych nas bogatszych, dojrzałszych i mądrzejszych autor powieści pozbawił zwycięskiego zadufania i że zażądał od nas refleksyjnej pokory [I, s. XXXII].

Gdyby słowa te odnieść do tradycyjnej prusologii i zapytać: jaki jest stosunek Bachorza do tzw. stanu badań w tym względzie? Otóż zna on dorobek prusologii, a w każdym razie „lalkologii”, lecz dokonuje w nim rodzaju transakcentacji. Nie uczynił na przykład Prusowskiego autokomentarza do *Lalki*, zawartego w *Słódku o krytyce pozytywnej*, kluczem interpretacyjnym powieści. Doszedł — widocznie — do przekonania, że klucz „trzy pokolenia «polskich idealistów na tle społecznego rozkładu»” nie otwiera wszystkich, co więcej — najważniejszych treści utworu. Nie przytoczył nawet pisarskiej definicji „społecznego rozkładu”, choć dobrze wspierała jego rozważania — przypomnijmy ją zatem:

Rozkładem jest to, że ludzie dobrzy marnują się lub uciekają, a łotrom dzieje się dobrze. Że upadają przedsiębiorstwa polskie, a na ich gruzach wznoszą się fortuny żydowskie. Że kobiety dobre (Stawska) nie są szczęśliwe, a kobiety złe (Izabela) są ubóstwiane. Że ludzie niepospolicci rozbijają się o tysiące przeszkód (Wokulski), że uczciwi nie mają energii (książe), że człowieka czynu gnębi powszechna nieufność i podejrzenia itd.

Bachorz nie referuje wszystkich ustaleń — jak określa — „klasycznych pozycji” poświęconych twórczości Prusa. Koncentruje uwagę na oryginalności formalnej *Lalki* (o czym już wspomniałem) i na jej problemach uniwersalnych, dotyczących egzystencji ludzkiej. Wnosi w tym zakresie sporo rozpoznań interesujących: o relatywizmie poznawczym w obliczu transcendencji, o psychologii uwikłanej w dziedzictwo romantyczne, o miłości jako tajemnicy człowieczeństwa, o patologii rodziny będącej skutkiem chorego społeczeństwa, o kompleksie i micie polskości... Jakże nie przytoczyć pięknego fragmentu z rozdziału *Miłość*:

Pod rozgwieżdżonym niebem odbywa Wokulski swoją drogę wzdłuż toru kolejowego, gotując się do chwili ostatniej, tej, w której miłość ma się przemienić w śmierć. Gdy przystaje na rubieży wśród kamieni — jakby tych kamieni biblijnych, które wołać będą — posłyszysz w halucynacyjnej wizji ich pytania — a są to przecież jego własne pytania: Co to jest człowiek? Co to jest czuć? Po co jest człowiek — ten najwspanialszy cud natury i zarazem najstraszliwsze jej cierpienie, jej szaleństwo, jej zbuntowane wyzwanie? Po co jest śmierć? Wokulski nie posłyszysz odpowiedzi. Pozostanie z pytaniami. Aż do końca [I, s. LXII].

Wstęp kończą — zwyczajowo — *Uwagi o tekście*. Wynika z nich, że Bachorz usiłował ustalić kanoniczny wariant tekstu *Lalki*, wyprzedzając — w wielu miejscach — decyzje emendacyjne przyszłego wydania

krytycznego. W tym celu skonfrontował dotąd powielany tekst (według wydania Zygmunta Szweykowskiego) z rękopisem powieści (zachowanym w 1/3), pierwodrukiem prasowym i „edycjami kontrolowanymi przez autora”, wprowadzając odpowiednie *corrigenda* i *addenda*, skrupulatnie przy tym sygnalizowane i uzasadniane w przypisach. Cenna to robota!

Pozostają jednak „nieutulony w żalu”, że zmarnowano szansę, by wreszcie ukazać, jak wyglądała *Lalka* w odcinkach, gdzie między nimi przebiegały granice i co z tego wynikało. To zresztą nie tylko problem edytorski, ale też merytoryczny — o konsekwencjach interpretacyjnych (zob. *Bolesława Prusa powieści w odcinkach* w „*Twórczości*” z 1973 r.).

I jeszcze łyżka dziegciu dla Ossolineum.

Gdy dzisiejszy czytelnik, śledząc rozmowę prezesowej Zasławskiej z Wokulskim, dowie się, że po jego stryju pozostała „paczka p a p i e r o s ó w i jakaś druga miniatura” — będzie może zdziwiony. Ale gdy się dowie, że „te przedmioty stryj sam opieczętował na kilka dni przed śmiercią i kazał włożyć je do swojej trumny” (I, s. 197) — będzie zapewne zdumiony.

Er(r)ato — muzu korektorów, przybądź!

Edward Pięćcikowski

Metafizyka przypadku w „*Lalce*” Prusa

Rezygnacja większości pozytywistycznych krytyków z metaforycznego odczytania tytułu *Lalki* Bolesława Prusa wynikała z powszechnego przeświadczenia, że „myśli przewodniej autora niepodobna prawie odgadnąć...”¹. Leon Okręt, „najinteligentniejszy — zdaniem Janiny Kulczyckiej-Saloni — krytyk *Lalki*”², w swojej recenzji powieści na łamach petersburskiego „*Kraju*” stwierdził, że „czytelnik szuka i ma prawo wymagać jedności usposobienia, nastroju, stałego do świata stosunku, jednolitości”³. Postawiony przez tegoż recenzenta problem: „jakim jest kąt, pod którym Prus widzi prawdę, jakim jego

¹ K. Ehrenberg *Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne. Bolesław Prus: „Lalka”, w: Prus. Z dziejów recepcji twórczości*, wybór i opracowanie E. Pięćcikowski, Warszawa 1988, s. 113.

² J. Kulczycka-Saloni *Bolesław Prus w oczach potomnych*, w: *Z polskich studiów slawistycznych*, seria 2: *Nauka o literaturze*, Warszawa 1963, s. 165.

³ L. Okręt *O „Lalce” słów kilka*, w: *Prus. Z dziejów recepcji twórczości*, op. cit., s. 105.